

Dziś stracona - szansa wspomnień

Na początku sezonu czytałem gdzieś bardzo interesującą zapowiedź dyrekcji Teatru Starego i Poezji. Oto praca zespołu powinna iść w dwóch kierunkach: samodzielnego eksperymentu reżyserskiego na jednej scenie, i autora współczesnego na drugiej. Ambitna zapowiedź otwierała furtkę wszystkim naszym nadziejom.

Potem przyszły przedstawienia. Z ambicji reżyserskich została w rzeczywistości tylko „Święta Joanna” Shawa, z autorów współczesnych dopiero przed paru dniami wszedł na scenę — Jerzy Zawieyski. Ale że początki zawsze bywają trudne — a od blisko dziesięciu lat żaden nasz teatr nie zdobył się na stałe uczęszczanie autorów współczesnych w swoim repertuarze — więc niech będzie Zawieyski! Tym bardziej, że jego poprzednie sztuki, grane w Krakowie do roku 1948, były specjalnością reżyserską Romana Zawistowskiego, obecnego kierownika teatru.

„Wysoka ściana” to pierwsza sztuka współczesna w Krakowie od czasu „Odwiedzin”. Ale o „Odwiedzinach” wiadomo było, że jest to sztuka „przedterminowa”. Mamy bowiem w literaturze taką paradoksalną sytuację, że przez dwa lata niegrana sztuka czy niewydana powieść traci nie tylko aktualność, ale także niemal 80 proc. swojej wartości. Nowy problem do rozstrzygnięcia dla specjalistów od estetyki.

O dacie powstania „Wysokiej ściany” nic nie wiemy. Przez kilka lat milczenia Zawieyskiego snuło się sporo plotek i domysłów. Jedni szepotali, że to do sztuki napisał przez ten czas autor „Rozdroża miłości”. Inni opowiadali wzruszeni, jakiego to sztuki coraz szczerzej wypełniają szufladę pisarza. Na wszystkie wątpliwości będzie można odpowiedzieć

po kolei. Początek zrobiony: jesteśmy w Teatrze Poezji. Jesteśmy znów w roku 1947...

Nieprawda! Jesteśmy o wiele wcześniej. Jesteśmy wśród ludzi, na których — mimo pozorów skrupulatnie budowanych przez pisarza — woźna nie pozostawiła żadnego śladu!

Problematyka minionej wojny. Chętnie upatrywałbym zaskoczenie Zawieyskiego w tym, że do niej powraca. To teren, z którego niesłusznie odeszła literatura, odepchnięto ją. Może w tym jest jedna z przyczyn jej klęsk, jej pycizn w tłumaczeniu współczesności, że nie potrafiła do końca zrozumieć i rozgrzyść wszystkich obciążeń i kompleksów wyniesionych przez społeczeństwo z okupacji. Ostatnio, jeśli nawet ukazywały się kłazdki o wojnie — były to kroniki, zdarzenia, opisy, które ani siliły się ani potrafiły postawić problematykę psychologii społecznej, jaka się wtedy tworzyła. Być może też, gdyby zaraz po wojnie uważniej czytano eseje Wyki o gospodarce okupacyjnej i jej konsekwencjach społeczno-psychologicznych nie popełniono by tylu błędów, z których teraz trzeba się spowiadać i leczyć. Dziś nie jest to już sprawa eseju; literatury na pewno tak. Podkreślam to: psychologia i jej kompleksy trwają o wiele dłużej niż warunki, które ją zrodziły. I tu zaczyna się teren pisarza.

Ale Zawieyski przyszedł obciążony bagażem nie tyle okupacji, co moralistyki. Bohaterka utworu, Urszula, została aresztowana w okresie, gdy spodziewała się dziecka. W więzieniu straciła dziecko i stała już pod ścianą rozstrzelanych. Znana akcja partyzancka ocaliła jej życie, ale czy uratowała ją? Oto pytanie Zawieyskiego postawione

wprost, ale odpowiedź nie została wystylizowana trochę perfidnie.

W recenzji z „Ocalenia Jakuba” pisał Tadeusz Breza o jakubowej drabinie dramaturgii Zawieyskiego. Jest nią jakieś ewangeliczne czy moralistyczne rozwiązanie dramatu, sztucznie doczepione do „normalnego”, laickiego konfliktu. Taka drabina jest także w „Wysokiej ścianie”. A jej szczeblami bardzo sztucznie powstawianymi jest właśnie sprawa okupacji.

Bo — spojrzmy na dramat. Zaczyna się wtedy, gdy Urszula stwierdza, że nie może mieć już dzieci. Zamiast rozrachunku z psychologią wojenną mamy patologię kobiety. Nie tak znowu rzadki wypadek, żeby dla uprawdopodobnienia sytuacji przywoływać aż wojnę! Normalne małżeństwo albo jest z tego zadowolone, albo się rozchodzi. Ale nie u Zawieyskiego. On do „ściany” dostawia ideologiczną „drabinę”, wojnę, która „wciąż jest między nami”. Poza bezdusznością i kompleksem macierzyńskim Urszula — powtarzam — nie wyniosła z wojny i z „tamtej strony” nic więcej. Ale „tamta strona” musiała być, żeby w prof. Darniewiczuzi wywołał konflikt sentymentalny i bohaterski, żeby można mówić o odpowiedzialności i wyrzeczeniach, żeby pozwolić autorowi na wyraźny morał o miłości bliźniego, o szczęściu znajdowanym w cierpieniu etc. Zawieyski jest zbyt dobrym dramaturgiem, żeby to mówić ze sceny wprost. Ale nawet cały system drabin nie potrafi ukryć rzeczywistej pustki w problematyce ideowej i moralnej.

Oczywiście, Zawieyski miał prawo ustawić sytuację, jak chciał. Ale cel rozszedł się z metodą. Dramat Urszuli i prof. Darniewicza nie mówi nic o rzeczywistych kompleksach okupacji. Sprawa Urszuli mogłaby się rozegrać w każdej chwili. Tylko, że wtedy nikt rozsądny nawet pięć minut nie patrzył na wahań i niepokoje Darniewicza, nie słuchałby morałów Zawieyskiego. A

tak — dzięki drabinie, z której otwiera się niewielki horyzontek na przeszłość i wspomnienia, publiczność klaszcze mocno i jest wzruszona.

Patrząc na to szamotanie się Zawieyskiego, melancholijnie wspominałem wspaniałe, męskie i surowe karty „Krajobrazu niewzruszonego” Kornela Filipowicza. Zrodził się we mnie cichy żal do pisarza, że to nie on pierwszy podjął dziś trudny temat kompleksów, jakie we współczesnym człowieku pozostawiła okupacja, często pobyt już na „tamtej stronie”. Wstrząsające opowiadanie o Jónaszu, który przeżył śmierć, który w grupie rozstrzeliwanych padł pod trupami niedrażniony — to opowiadanie gwarantowało, że Filipowicz znalazłby głęboki, ludzki stosunek do spraw, które zostały w psychice człowieka, że nie posłużyłby się sentymentalnym obrazkiem i nie wzruszał fizjologicznymi przyrządnościami.

I to byłoby zresztą dopiero nikły fragment tych obowiązków, jakie literatura powinna podjąć. Nie z jakichś ubocznych względów, ale dlatego, że w człowieku, w każdym z nas — tkwią zmiany psychologii, myślenia i odczuwania, głębokie i niejako organiczne, które wyniesione z „czasów nieludzkich” przedłużają się dziś nie tylko na życie obywatelskie, ale i społeczne. Pamiętacie Balzaka? Jego bohaterowie sprawę Napoleona nosili w sobie jeszcze w roku 1840! Nie wiercie nikomu, że nasze doświadczenie było mniejsze. Nie miało może tylko koturnów tragicznych, ale rany zostawiło boleśniejsze. Jakże bym się cieszył, gdybym tego wszystkiego nie musiał pisać na kartce marzeń, ale streszczając sztukę Zawieyskiego! Gdyby... — ba, gdyby autor zszedł ze swej na szlachetności ewangelicznej opartej drabiny i popatrzył po prostu na ludzi. Jego spojrzenie w przeszłość nie byłoby może wtedy tak ubogie i bezradne.

A więc — nawet Zawieyskim

teatr swoją zapowiedź współczesnych autorów wypełnił zaledwie w połowie. Ale na tym przedstawieniu znowu niepokoiło pytanie: jaki ma być stosunek reżysera do teatru? Ścisłe oddawać wszystkie wzloty i upadki autora, czy pokusić się czasem o „poprawienie” go, o dyskretne przesłonięcie miejsc niedomyślanych i słabych? Czy reżyser może pójść własną drogą i w dramacie kompleksów psychologicznych szukać dramatu postaw moralnych — a więc pogłębiać go? Słowem: czy wolno eksperymentować reżyserowi także na tekście współczesnym, czy wedle zapowiedzi w Teatrze Starym ma panować ścisłe odgraniczenie eksperymentu reżyserskiego i współczesnego dramatu?

Z tego już widać wyraźnie, że reżyser przedstawienia, Halina Gallowa, wszelkiego eksperymentu uniknęła. W ścisłym oparciu o tekst, wierna jego wszystkim siłom i słabościom, zbudowała konsekwentny dramat psychologiczny, który — nie jej wina! — jednym potrafił wzruszyć, innych — irytował. Aktorsko było to przedstawienie — jak się to mówi — znakomicie wytrzymałe do końca, także z psychologiczną, dosłowną wiernością, pozbawione umownego wyrazu i jakichś skrótowych, zaskakujących koncepcji. Tak grały przede wszystkim Halina Gallowa (matka) i Maria Bednarska (jej przyjaciółka). Jerzy Kaliszewski czuł się w swojej roli chyba trochę obco. Danuta Michałowska mówiła swój tekst tak, że przyklasnałem co przed jej ideą wznowienia Teatru Rapsodycznego, w którym aktorka fałszywie święciła swoje tryumfy. Urszule grała Zofia Niwińska — znakomicie. Ale przeciwko Zawieyskiemu: bez „drabiny”, tylko na nucie chorobliwego kompleksu.

Dekoracje Wojciecha Krakowskiego w pomysły jakby „corbousierowskie”, ale bardzo nie polskie i nie powojenne. Takie wille można było spotkać we Wrocławiu do roku 1945. Później szabrownicy rozbili.